Nr. 30 (21) Lwów, dnia 20. Października 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu* i *Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i *Wieczory zimowe“* **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Ks. Błażej, który był właśnie w zakrystji, słysząc gwar w kościele, wyszedł zobaczyć, co się stało. Misjonarz jednak trwał przy ołtarzu, bo tak mu obowiązek nakazywał.

Przez środek tłumu gęsto zbitego, pomagając sobie łokciami i pięściami, przeciskał się jeden z tych chłopaków, którzy na czatach stali. Był spocony, zmęczony a tak czerwony, że o mało mu krew nie wytrysła wszystkiemi porami.

— Jadą! — krzyknął z daleka do ks. Błażeja, który do niego podchodził.

— Kto taki?

— Żandarmi.

— Daleko są?

— Jeszcze kawałek. Widziałem jeno pikelhauby.

— Ilu ich jest?

— Dwóch.

— Jadą! — dał się słyszeć nowy głos we drzwiach. Pochodził on od drugiego chłopaka, który przywoził tę samą wiadomość.

— Zamknąć bramę wchodową i nikogo nie wpuszczać! — zawołał głosem donośnym proboszcz trzciniecki, poczem udał się do zakrystji, by tam to samo uczynić.

Jakby na komendę, drzwi duże, żelazem okute z hukiem się zamknęły. W zakrystji słychać także było zgrzyt klucza w zamku.

Ksiądz odprawiający mszę św. podczas wrzawy w kościele, przestał wprawdzie śpiewać i czekał, póki by zamięszanie nie ustało; niczem wszakże nie okazał ani trwogi, ani choćby najlżejszego zaniepokojenia. Gdy drzwi zamknięto i w kościele trochę się uciszyło, zaczął dalej śpiewać.

Nie trwało to jednak długo. Wkrótce przy samej bramie dało się słyszeć głośne konia prychanie, poczem ktoś czemś twardem w nią uderzył. Ten i ów z bliżej stojących obrócił się, jakby chciał zobaczyć, czy przypadkiem bramy nie wysadzają, ale mimo to porządek nie został niczem zakłócony. Wszyscy zachowywali się spokojnie, organy grały poważnie, ksiądz przy ołtarzu śpiewał podniośle.

Pukanie i do tego z większą natarczywością powtórzyło się przy bramie, a równocześnie drugie takie dało się słyszeć przy drzwiach od zakrystji.

Pan Bielski, który przez cały ten czas był niespokojniejszy niż wszyscy inni, nachylił się do ucha pana Milińskiego.

— Psubraty! — szepnął. — Taka mnie na nich szewska pasja porywa, żem gotów wyjść i uszy im poobrywać.

Siostrzeniec za surdut go pociągnął.

— Niech się wujaszek mityguje. Wszelki zatarg z władzą jest u nas surowo karany.

Chociaż nie w smak były mu te słowa, zrozumiawszy jednak, że gwałtowniejsze wystąpienie mogłoby rzecz tylko pogorszyć, uspokoił się jakoś i jeno na znak wielkiego niezadowolenia, nie przestawał wąsami groźnie ruszać.

Na twarzy każdego z naszych znajomych, którzy tu się znajdowali, inne w tej chwili malowało się uczucie. Pan Miliński miał brwi w ten sposób ściągnięte, że w fałdach, które mu się na czole utworzyły, można było oburzenie wyczytać; mniej więcej tak samo wyglądał br. Fryderyk, chociaż u tego gniew był łagodniejszy; wiek i doświadczenia przebyte zrobiły go spokojniejszym; hr. Leonard wyglądał zaniepokojony; hrabina oczy cieka-

wością błyszczące kierowała ciągle to ku bramie, to ku zakrystji; po jej lewej ręce Antosia, ukrywszy twarz w książce od nabożeństwa, gorzko płakała.

Pani Eleonora trocha blada, podniosła głowę do góry i zapatrzona w duże malowidło na głównym ołtarzu, przedstawiające Chrystusa na krzyżu rozpiętego, dzięki czemu śliczny jej profil w całej okazałości zajaśniał, zdawała się prosić Boga o pomoc i ratunek; siedzący zaś na przeciwko stary hr. Wągrowski, mając szkiełko w jednem oku a drugie zmróżone, przytem usta nieco rozwarte, wpatrywał się w nią tak uporczywie, nawet zuchwale, że tylko ogólnemu zamięszaniu należy przypisać, iż nikt na to uwagi nie zwrócił.

U bramy i przy drzwiach pukanie nareszcie ustało, poczem suma ukończyła się spokojnie. Gdy misjonarz zaintonował: Święty Boże! ks. Błażej skinął na Wojciecha Żołędziaka, który nieopodal stojąc, czekał tylko na znak, żeby się do niego zbliżyć, i szepnął mu do ucha:

— Chociaż przestali się dobywać, niewątpliwie na dworze czekają... Ponieważ obadwa wyjść nie możemy, a że nas tu jest dwóch, o tem z pewnością już wiedzą, więc ja tu zostanę, boć mi głowy nie urwą, ale księdza misjonarza musimy koniecznie ratować. Jak tylko skończy śpiewać, wy, Wojciechu, klękniecie przed ołtarzem, przedtem idźcie do zakrystji i ubierzcie się w komżę, i drugi raz zaintonujecie: Święty Boże! Tymczasem ksiądz misjonarz wyjdzie z innymi, i żandarmi z pewnością go nie zobaczą.

— Oj! dobrze, proszę łaski jegomości, dobrze! Żeby choć też człowiek sobie na większe miłosierdzie zasłużył.

Stało się jak ks. Błażej ułożył. Ledwie misjonarz, ostatni raz wiernych monstracją pobłogosławiwszy, przestał śpiewać i do zakrystji odszedł, gdzie w jednem oka mgnieniu zmienił się napowrót w młodzieńca świeckiego, już stary rybak klęczał w komży przed ołtarzem i drugi raz intonował: Święty Boże! W tej chwili ks. Błażej dał znak ręką, żeby główną bramę otworzono. Drzwi od zakrystji miały nadal zostać zamknięte.

Na twarzach naszych znajomych widać było zadowolenie, oczy hrabiny jeszcze większą błyszczały ciekawością, stary hrabia oderwał na chwilę oko od pięknej pani Eleonory i usta szeroko rozwarłszy wypatrzył się na Żołędziaka, który rolę swoją wcale dobrze odgrywał, a pan Bielski uśmiechał się i ręce zacierał, przyczem szeptał do siostrzeńca.

— Tak, to ja lubię mój słodziutki kochasiu! Wykierują szwabów, wykierują. Jechał że ich sęk, jak oni to dobrze robią!

Gdy brama się rozwarła, na samym progu ukazała się świecąca pikielhauba! Wielu dalej śpiewało, myśląc że nabożeństwo dotąd nieskończone, inni zaczęli wychodzić. Między tymi i do tego jednym z pierwszych, był misjonarz. Przeszedł spokojnie mimo żandarma, ten bowiem widząc przed ołtarzem dwóch księży klęczących, tylko w nich się wpatrywał, a na wychodzących uwagi nie zwracał. Przez ten czas obok drzwi od zakrystji drugi żandarm stał jak posąg.

Gdy wreszcie śpiew ustał i obadwa księża odeszli do zakrystji, żandarm wolnym krokiem za nimi ruszył. Nim atoli doszedł do balustrady, oddzielającej prezbiterjum od ławy kościelnej, z zakrystji wychodził już Żołędziak w swojej długiej kapocie, z miną spokojną i skruszoną. Żandarm raz spojrzał na niego i wszedł do zakrystji. Jakież atoli było jego zdziwienie, gdy tu zobaczył tylko jednego księdza. Prócz kościelnego i dwóch chłopców, co do mszy służyli, nie było w zakrystji nikogo więcej.

— *Wo ist der zweite?* Gdzie jest drugi? — żandarm wołał.

— Jaki drugi? — ks. Błażej spokojnie zapytał.

— Misjonarz, ten co nabożeństwo odprawiał.

— Jeżeli był drugi, to go pan szukaj.

Żandarm rozglądał sie po zakrystji, potem wszystkie szafy zlustrował, w końcu rozgniewany nawet drzwiczki od pieca otworzył i do środka zaglądnął. Gdy i tu nic nie znalazł, spojrzał do okna. Było żelaznemi kratami opatrzone. Teraz wezwał kościelnego, by na dwór drzwi otworzył. Gdy to nastąpiło, zapytał stojącego tamże kolegi:

— Nie uciekał kto tędy?

— Ani mysz!

Żandarm z gniewu zębami zgrzytając, poszedł do ks. Błażeja, by zapisać sobie w książeczce jego nazwisko i stałe miejsce pobytu. Czynił to tylko dla dopełnienia formalności, oddawna bowiem znał proboszcza trzcinieckiego, jak w ogóle wszystkich innych księży stale w powiecie mieszkających. Takiego też nie mógł zaraz uwięzić. Inaczej postąpiłby z misjonarzem. Tamtego jako osobę nieprawnie w powiecie mieszkającą, byłby zaraz z sobą zabrał.

Podczas gdy to się dzieje w zakrystji, pan Bielski nie posiadał się z radości, ciągle ręce zacierał przyczem mówi:

— Jechał że ich sęk, jak chwacko się spisali! Tak ja lubię! Ten żandarm niemiec? — dodał zwracając się ku siostrzeńcowi.

— Zapewne że niemiec.

— Skoro tak, mój słodziutki kochasiu, to ja tam za nim pójdę, i temu hołodrydze przynajmniej dobrze po polsku nawymyślam.

— Ależ wujaszku, proszę dać pokój! Chociaż oni niemcy, tyle jednak rozumieją po polsku, że za zniewagę potrafią się obrazić. Przed miesiącem, o kilka mil ztąd, gdy ksiądz z ambony ręce do ludu wyciągnąwszy, użył między innemi wyrażeń „szeregi wiernych“ wtedy żandarmi, którzy tak samo, jak dziś tu we dzwiach stali, myśląc, że ich ksiądz nazwał po niemiecku *Scherzen* (oprawcy) zaskarzyli go o to do sądu, i mimo protestów ksiądz poszedł do więzienia.

— Jechał że ich sęk z taką sprawiedliwością! — pan Bielski gniewnie zawołał. — Wiesz co, mój słodziutki kochasiu, to już u nas w Austrji lepiej. Tam jak szlachcic się postawi, to nawet samemu staroście w jego kancelarji dobrze nawymyśla, a przecie nikt go za to do kozy nie bierze. Jechałże ich sęk, tych twoich Prusaków!

Za kościołem, o kroków kilkadziesiąt, wznosił się niewielki pagórek, widocznie przed wiekami ludzką ręką usypany, na którym rosła lipa stuletnia. W jej cieniu stał krzyż kamienny, na nim Chrystus. Gdy się z kościoła wychodziło, lipę i krzyż miało się naprzeciw siebie.

Pani Milińska opuszczała świątynię krokiem wolnym. Bledsza była niż podczas nabożeństwa, na rzęsach łzy błyszczały, niekiedy zatrzymała się, by powietrza chwycić i wtedy przez usta zaciśnięte wyrywała się cicha skarga:

— Boże! czemu nas opuszczasz!

Hrabiowie Wągrowscy szli po obu jej bokach, dopiero za nimi reszta towarzystwa. Na samym końcu widać było barona.

Gdy pani Milińska w bramie stanęła, wzrok jej padł na krzyż pod lipą. Zatrzymała się chwilę, potem ręce przed siebie wyciągnąwszy, zaczęła biegnąć na pagórek. Ruch tej tak był szybki, nawet gwałtowny, że aż z głowy spadł jej kapelusz, po który młody hrabia zaraz się schylił, i podczas gdy reszta osób zatrzymała się w oczekiwaniu tego, co nastąpi, ona wybiegłszy na pagórek rzuciła się do stóp krzyża, objęła go ramionami i z głębi duszy jęknęła:

Boże! nie opuszczaj chrześcijan!

Jeźli kiedy to teraz, w tej postawie Magdaleny na Golgocie cierpiącej; z włosami rozwianemi, bo i te przypadkiem na białą suknię jej opadły; z cichą a głęboką boleścią na twarzy klasycznej, która na ciemnem tle lipy szumiącej, jaśniała białością marmuru kararyjskiego, jeźli kiedy, to teraz była prawdziwie piękna!

Jej matka, pełna zachwytu, zwóciła się do starego hrabiego mówiąc:

— Ślicznie! cudownie! bosko!.. Ach! tak moja Elcia powinna dać się fotografować!

Hrabia musiał jej zapał podzielać, skoro śmiejąc się. wesoło zawołał:

— He, he, he, *prachtvol!* Superbe!

Pan Bielski poruszył się niecierpliwie powiedziawszy: Jechałże cię sęk, a to komedja! odszedł do koni, młody hrabia, baron i Antosia patrzyli, nie wiedząc jak to sobie mają tłumaczyć, a pan Miliński, zbliżywszy się prędko do żony, rzekł sucho:

— Proszę cię, Eleonoro, pojedziemy! W kościele mieliśmy dosyć czasu na modlitwę;

Hrabina, która to słyszała, był pewna że jej córka bądź zemdleje, bądź spazmów dostanie; omyliła się jednak; nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Pani Eleonora spojrzała tylko na męża z gorzkim wyrazem, potem z westchnieniem z ziemi się podniosła, z rąk młodego hrabiego przyjęła kapelusz, za co mu podziękowała smętnym uśmiechem, podwinęła włosy, ubrała kapelusz i lekkiem skinieniem głowy odprawiwszy starego hrabiego, który chciał jej ramię podać, szła do powozu sama jedna, poważnie, uroczyście a pełna boleści, jak tragedja.

Przy drzwiczkach matka ze łzami za szyję ją objęła.

Gdy pan Miliński z wujem i swemi damami do domu wrócił, zastał już u siebie misjonarza, który opuściwszy Romanowo, w towarzystwie małych Żołędziaków, dostał się do Trzcińca polnemi drogami.

— Cieszy mnie niezmiernie, że ksiądz dobrodziej tak szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa — rzekł do swego gościa. — W każdym razie spisał się ksiądz doskonale.

— Bieda wszystkiego nauczy, panie dobrodzieju. Co się jednak stało z żandarmami?

— Zdaje mi się, że jeden za nami jechał.

— Jeźli tak, to zadanie dopiero w połowie skończone. Prawdopodobnie będzie on tu niezadługo.

— Cóż ksiądz uczyni?

— Już ja sobie dam radę. W ostatniej chwili zawsze najlepsze przychodzą pomysły. Służba mnie nie zdradzi, bom ją już uprzedził, a pan dobrodziej niech się spuści na mój koncept.

Niedługo trwało, a na podwórzu w rzeczy samej pojawił się żandarm na koniu. Zlustrował on już wieś całą, teraz przyjechał dowiedzieć się do dworu, czy zbieg przypadkiem tu się nie ukrył. Na jego widok misjonarz dał tylko znak gospodarzowi, żeby był spokojny, poczem cwałem wybiegł na podwórze

— Jest dziedzic? — żandarm zapytał.

— Mój pan jest w domu — odrzekł misjonarz, podchodząc do konia, którego zaraz za cugle ujął. Żandarm zsiadł z konia i wszedł do domu. Zabawił tam blisko pół godziny i dopiero gdy się utwierdził w przekonaniu, że misjonarza tu nie ma, wyszedł na podwórze, gdzie improwizowany lokaj przez cały czas jego nieobecności, konia mu przeprowadzał. Tem tak sobie ujął żandarma że ten odjeżdżając, wetchnął mu w rękę pięć fenigów na piwo.

Po jego odjeździe, wszyscy unosili się nad młodym kapłanem, że okazał tyle krwi zimnej i przytomności umysłu, a gdy później wieczorem gospodarz odsyłał go swoimi końmi nazad do Romanowa, pan Bielski wziąwszy księdza na bok, najpierw go serdecznie w oba policzki ucałował, potem tak przemówił:

— Grackoś mi się spisał, mój słodziutki kochasiu, gracko! Ja zawsze powtarzam, że tylko sztuką niemców tłuką. Ja to lubię księże dobrodzieju, i sam, chociaż jeszcze nie tu, i w inny sposób już nie raz nalałem im gorącego sadła za skórę! Jechałże ich sęk! Ilekroć nie można inaczej, trzeba ich z mańki zażyć. Weź to księże dobrodzieju na mszę świętą — tu misjonarzowi coś w rękę wsunął — a jak ją będziesz odprawiał, to westchnij cichutko do Pana Boga, żeby jak najprędzej wszystkich tych hołodrygów zabrał do swojej chwały. Pan Bóg za to się nie rozgniewa, przecie to życzenie szczerze katolickie, by każdy z nich dostąpił królestwa niebieskiego, nam zaś grzesznikom, bez nich zawsze na tej ziemi trocha lepiej będzie. Niech wam ojcze, pan Bóg da zdrowie, boście się doprawdy gracko spisali.

Tu drugi raz misjonarza w oba policzki ucałował, aż łoskot rozszedł się po korytarzu.

VIII.

Pan Miliński nic nie wiedział, że w tym samym dniu gdy on do Poznania jechał, pieniędzy szukać, i już z góry trapił się myślą, co zrobi, jeźli ich nie dostanie, jego żona razem z matką jeździła po okolicy, robiła wizyty w Komarowie i Ujściu Leśnem. Wróciwszy do domu, nawet mu przez myśl nie przeszło pytać, czy podczas jego nieobecności panie gdzie nie były, wiedział bowiem, że prócz kościoła nie mają gdzie więcej wyjeżdżać; one same słówkiem o tem nie wspomniały: Antosia, za żadne skarby świata nie byłaby tajemnicy zdradziła, a sługi, lubo że ani pani domu, ani jej matka nie żądała od nich utrzymywania tego w sekrecie, jakoś o tem także milczały. Wszakże zdaje się, że u tych ostatnich, nie sama małomowność była powodem tak wielkiej wstrzemięźliwości. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, kłódką, co im usta pozamykała, była Antosia, ta bowiem nazajutrz po wycieczce siostry i matki, długo roz-

*

mawiała ze stangretem, który ze dworu wychodząc był uśmiechnięty i coś na dłoni oglądał, a potem miał jeszcze tajne konferencje z resztą służby.

Panowie Wągrowscy, usłyszawszy u siebie od hrabiny, że jej zięć wyjechał i dopiero za dni kilka wróci, byli na tyle delikatni i przezorni, że nie puścili się zaraz nazajutrz z wizytą, lecz czekali na powrót gospodarza. Pierwszy tydzień spłynął im tedy na próbowaniu łodzi, która okazała się doskonałą. Płynęła szybko a cicho, jak każdy śrubowiec, w ruchach była zwinna, a że nie zanurzała się głęboko, więc też prawie wszędzie gdzie trzciny nie rosły, można było przybić na niej do samego brzegu. Mimo to stary hrabia osądził, że ilekroć wybiorą się czy po państwa Milińskich z wizytą, czy też do kościoła, zawsze na kilkaset kroków przed nimi, powinien na zwykłej łodzi płynąć Scholz, aby nie tylko jak herold zwiastował, że za nim wielcy państwo nadciągają, lecz żeby im także lądowanie ułatwił. Scholz robił co musiał, wszelako wątpimy, by mu to przyjemność sprawiało. Ilekroć kazano mu do łodzi siadać, był chmurny, i zawsze wtedy Jacner choć po niemiecku nie umiał, domyślał się, że rządca z pałacu wychodząc straszliwie musiał przeklinać, skoro biegł szybbko, rękami niespokojnie wymachiwał i słowa urywane przez sine usta wyrzucał.

Nim hrabiowie do czerwonego dworu przyjechali, już wpierw kilka razy, podpływali aż pod jego ogród, by choć zdaleka damom się ukłonić. Pani Eleonora odpowiadała lekkiem głowy skinieniem, za to hrabina wołała z pełnej piersi: Dobry wieczór! (przejażdżki odbywały się najczęściej po południu) i chustką batystową powiewała, jak do najlepszych przyjaciół. Statek pomykał ku zachodowi, a tuż za nim biegły jej oczy rozpromienione.

— Jacy ludzi szczęśliwi! — wołała. — Wszystko mają, czego zapragną i nudzić się nie potrzebują.

Pierwsza wizyta nastąpiła dopiero po powrocie pana Milińskiego, o czem w Ujściu tego samego dnia wiedziano i odbyła się według przepisów etykiety. Hrabiowie wystrojeni na ostatni guzik, ojciec we fraku, syn w czarnym surducie, (już był dawniej z wizytą u pana Milińskiego), przy pomocy Scholtza wysiadłszy z jego łodzi szczęśliwie pod samym dworem, zostali przyjęci przez gospodarza grzecznie, a przez jego teściowę entuzjastycznie. Ta zasiadłszy w salonie na kanapie, i mając *Lalunię* na kolanach, *Pinia* po jednej, *Finia* zaś po drugiej stronie, zaczęła wesoło rozmawiać, przy czem tak się śmiała i krzyczała, że aż szyby w oknach, mimo iż były duże i kryształowe głośno dzwoniły. Stary hrabia bawił ją jak umiał; młodszy, sentymentalnie oczy mróżąc, rozmawiał z gospodynią domu; Antosia siedziała na boku, Jancia i Staś, stojąc przy niej, badali gości instynktem dzieci, który rzadko zawodzi; panowie Miliński i Bielski dysputowali z proboszczem, który dnia tego był także we dworze.

I tłusty szlachcic z okolic Zbaraża, poglądając ukosem na hr. Artura, uśmiechał się tak dwuznacznie, że na to gospodarz musiał zwrócić uwagę.

— Co wujaszka tak rozśmiesza? — cicho go zapytał.

— Chodźcie panowie tylko na cygarko do innego pokoju — odrzekł pan Bielski.

Gdy się znaleźli aż w trzecim pokoju, od którego wszystkie drzwi były pozamykane, szlachcic nie mogąc dłużej śmiechu powstrzymać, parsknął nim na głos cały i dopiero gdy się uspokoił, zawołał.

— Jechał że cię sęk z takim hrabią! A wszak ci to rarog skończony! Jak mi Bóg miły mój słodziutki kochasiu, kubek w kubek do nieboszczyka jej męża podobny.

— Do hrabiego Spirydjona?

— Tak, tak, do hr. Spirydjona, vulgo do Kręcińskiego! Ten san wzrost, ruchy, takie samo wyglądanie. Nawet tak samo paplał i tamten po francusku. Wiesz co mój Henrysiu, tyś ją powinien teraz za tego wydać, i będziesz miał spokój.

— Amen! — zakonkludował ks. proboszcz.

— Widzisz. Sam proboszcz zdanie moje podziela.

— Gdyby ją tylko chciał brać — szepnął pan Miliński.

— Kto wie, może weźmie bo coś do niej bardzo się mizdrzy i ciągle jej pieski chwali. Zresztą ja ją będę swatał.. Kupić nie kupić, potargować wolno. Jechał że cię sęk, toż by to było potem śmiechu.

Chociaż pan Bielski dopiero od dwóch dni bawił w Trzcińcu, oko jego było jednak na tyle bystre, że domyślił się już jakie między nimi a teściową stosunki panują.

Podczas gdy mężczyźni w pokoju gospodarza prócz jego jednego cygara palą, w salonie ani na chwilę gwar nie ustaje. Hrabina używszy pierwszej przyjemności w wesołym koncercie, usiadła do fortepianu, by zaśpiewać Mandolinatę, którą goście z zapałem przyjęli, potem pani Eleonora coś zanuciła, za co oklaski się posypały, w końcu starszy hrabia sam sobie akompanjując, z werwą, śmiałością, acz głosem bez dźwięku, jak garnek rozbity, zaśpiewał jakąś arję dość wyuzdaną, której nauczył się w Berlinie. Na szczęście pań, nie zrozumiały one nic prawie, hrabia bowiem śpiewał to arcydzieło w oryginale, a więc w narzeczu berlińskiem.

Hrabina tak tem była uszczęśliwiona, że nie tylko mu przyrzekła swoich nut pożyczyć, lecz nawet ofiarowała mu się na przyszłość akompanjować i duety z nim śpiewać.

Obadwa hrabiowie lubili namiętnie cygara, lecz nie wiedząc, jakie pod tym względem w Trzcińcu zwyczaje panują, przez grzeczność dla dam, salonu ani na chwilę nie opuścili.

Gdy jednak mimowoli, z czystego przyzwyczajenia, raz syn,, to znowu ojciec, z kieszeni cygarniczkę wyjął, więc chociaż zaraz ją potem chował, hrabina musiała to zauważyć, i gdy raz jeszcze to się powtórzyło, zawołała:

— Panowie nie palą i dlatego się nudzą! Karolu! zawołała na służącego, który właśnie przechodził — przynieś cygara i zapałki. Tylko prędko!

— Pani hrabina bardzo łaskawa, lecz tu, w salonie?... — rzekł syn.

— Chyba wyjdziemy do ogrodu — dodał ojciec.

— Nie róbcie sobie panowie subjekcji — odrzekła. — Osoby tak dystyngowane jak wy panowie, palą tylko cygara wyborne, z których dym w salonie może być nawet bardzo przyjemny.

Goście tem ośmieleni, wyjęli własne cygara i podczas gdy Karol przed młodszym hrabią trzy-

mał świecę zapaloną, hrabina wyrwawszy mu prędko z ręki pudełko z zapałkami, jedną z nich sama zapaliła i starszemu hrabiemu podając, rzekła:

— Tak miłym gościom nawet cygara pozwolimy odtąd przy nas palić.

Pani Eleonora nie bardzo temu była rada, wszelako nie mogła tego odwołać, co matka sama zarządziła, wpierw za dobre uznawszy. Właśnie gdy hrabina zapałkę hrabiemu podawała, jej zięć stanął we drzwiach ze swoimi gośćmi i słysząc jej słowa, rzekł do nich:

— Mnie, moi panowie, nie spotkałaby nigdy taka grzeczność. Prawda księże proboszczu?

Zapytany wzruszył ramionami, zwiesił głowę ale nie odpowiedział.

— Skoro już taka między nimi konfidencja— szepnął pan Bielski — to musi się ożenić. Wyswatam ich, choćbym miał zjeść djabła kosmatego! Tylko jeszcze na sposobność poczekamy.

Do trzech dni pan Miliński rewizytował swoich sąsiadów. Chciał koniecznie, żeby i wuj z nim jechał, ten jednak wymówił się od tej przyjemności tem się zasłaniając, że jako obcy, nie potrzebuje z temi „figurami“ aż w tak blizkie wchodzić stosunki... Zresztą — zakończył — my w Galicji tylu mamy podobnych wiercipiętów, że im rzadziej ich widuję, tem większą sprawia mi to przyjemność. Jechał ich sęk raz na zawsze!“

— A co będzie ze swataniem? — siostrzeniec żartobliwie zapytał.

— Ja go przecie tu będę swatał nie w Ujściu — wuj odpowiedział.

Pan Bielski nie chciał tedy jechać do Ujścia, lecz kto byłby to z wielką uczynił przyjemnością, to hrabina. Ta nawet już usta otworzyła, by z tą propozycją wystąpić, tak pragnienie zabawy i potrzeba rozmowy, pochłaniały wszystkie jej myśli, przygłuszając głosy rozsądku, czasem nawet przyzwoitości towarzyskiej, gdyby nie pani Eleonora, która domyśliwszy się z jakiemi zamiarami jej matka się nosi, rzekła w chwili stanowczej:

Wielka głowa, że żaden z panów, Wągrowskich nie jest żonaty, bo wtedy mogłybyśmy i my czasem u nich bywać.

Matka spojrzawszy na córkę, zrobiła minę wielce niezadowoloną, poruszyła się niecierpliwie na fotelu i odrzekła: — Pewnie że szkoda...

Pan Miliński sądził, że hrabiowie rzadko kiedy będą u niego bywali, tymczasem ledwie on ich rewizytował, zaraz nazajutrz jeden z nich znowu się pojawił. Był nim starszy, młodszy bowiem, przeziębiwszy się dnia poprzedniego, był coś nie— zdrów i musiał w domu zostać. Odtąd na jeziorze prawie codzień widać było dym, unoszący się z łodzi parowej, a ilekroć głośny świst sygnalizował zbliżanie się jej do dworu czerwonego, zawsze ztamtąd wychodziły obie damy, w najgorszym razie sama hrabina i albo kończyło się na ukłonach i głośnych witaniach, bądź też Scholtz do brzegu przybijał, aby damom wręczyć, od swoich panów nuty, książki, czasem bukiety z rzadkich kwiatów. Niekiedy zdarzało się że jeden lub drugi hrabia na brzeg wyskoczył, by z paniami chwilę pogawędzić, a czasem zjeżdżali także na dłuższą wizytę. Pan Miliński zajęty kłopotami i swojem gospodarstwem, nie bardzo był rad temu, wszelako nie sposób było sąsiadów za drzwi wyprosić i dość już uczynił, że po pierwszej wizycie więcej u nich nie był. Hrabiowie jednak nie chcieli się na tem poznać i dalej przyjeżdżali.

IX.

Pewnego dnia hr. Leonard zaproponował naszym znajomym, by ci jego łodzią zechcieli przejechać się po jeziorze. Hrabina przyjęła to entuzjastycznie, klaszcząc jak dziecko w dłonie, pan Miliński zaś odrzekł, że nie ma nic przeciw temu, co do swej osoby jednak wymówić się musi od udziału w tej przyjemności, ponieważ ma bardzo wiele zajęcia. Odchodząc do gospodarstwa, prosił tylko Antosię, by i ona koniecznie z dziećmi pojechała bo inaczej nikomuby nie pozwolił. Dzieci były tak tak samo uradowane jak babka.

Gdy chwila oczekiwana nadeszła, Antosia zbliżyła się do pana Bielskiego.

— Pan z nami także pojedzie — rzekła.

— Ja? Nie wiem czy wypada... Nie byłem dotąd z wizytą u tych wiercipiętów.

— Co to szkodzi! Oni niewiele wymagają...

— Kto wie czy tylko nie za wiele—mruknął szlachcic.

— Przecie to lepiej będzie wyglądało, jeżeli z nami będzie choć jeden mężczyzna, a skoro Henryk nie może, to niech pan to dla nas uczyni. Ręczę, że Henryk ani przypuszczał, iż jego wujaszek zechce się od tego wymówić, bo w takim razie, albo byłby sam pojechał, bądź też byłby nam nie pozwolił.

— Ależ panno Antonino, twoja matka będzie setnie zła. Ona mnie tak lubi jak pies jeża.

— Niech się pan nie wykręca i proszę się zbierać! — zawołała dziewczyna, szlachcica za rękę biorąc. — Przecie pan Henryka kocha, więc mu tej przysługi nie odmówisz.

Tak czule w oczy mu patrzyła, tak ręce składała, tak prosiła, że pan Bielski zwyciężony rzekł z uśmiechem:

— Jak to ty umiesz przymawiać, mój słodziutki kochasiu! Choćby człowiek nie wiedzieć jak chciał być uparty, musi ustąpić. Jechał że cię sęk, za taką politykę! Co mam robić, chyba już pojadę, ale jeżeli się mi tam co nie będzie podobało, jakiem szlachcic zrobię awanturę!

— Mam nadzieję, że do tego nie przyjdzie — Antosia odpowiedziała i pobiegła dzieci przebrać.

Hrabina bardzo była niezadowolona, gdy usłyszała, że prócz dzieci z Antosią, także i pan Bielski weźmie udział w wycieczce. Ona tak nie lubiła subjekcji, którą jej dzieci same już swoją obecnością sprawiały, i tak się oburzała na każdą uwagę, którą nie raz w swojej prawdomowności, zrobił jej pan Bielski, że widok tych istot, musiał w tej chwili przykre uczynić wrażenie. Gdy jednak nie mogło być inaczej, zwłaszcza iż pan Bielski hrabiom oświadczył, iż przychodzi w zastępstwie swojego siostrzeńca, przeto rada nie rada musiała i ten krzyż, jak już tyle innych, a równie ciężkich, przyjąć na swoje barki...

Wycieczka wypadła świetnie. Panie były uszczęśliwione, tym razem nie wykluczając nawet Antosi, dzieci biegały po pokładzie, nawet pan Bielski z przyjemnością sobie przypominał, jak ongi w towarzystwie pewnej węgierki, na której wspomnienie wąs z fantazją podkręcał, płynął także na statku parowym z Wiednia do Preszburga. Zadowo-

lenie jego jeszcze bardziej się spotęgowało, gdy po drugiej stronie jeziora, w pięknej drzew kępie, która nieopodal parku rosła, ujrzał stół zastawiony, na nim ciasta, cukry, mięsiwa i butelki ze złoconemi szyjkami i samowar dymiący. Obok stali lokaje w liberji i kamerdyner w czarnym fraku. Gdy hr. Leonard, jako gospodarz zaprosił towarzystwo na skromną przekąskę, szlachcic pierwszy przyjął propozycję, w lot osądziwszy, że wszyscy wysiąść mogą, skoro hrabiowie byli na tyle roztropni, że podwieczorek kazali przygotować nie w swoim ogrodzie, lecz w miejscu neutralnem.

Przy stole i szampanie tak przyjemnie szła pogawędka i tak szybko czas płynął, pan Bielski zaś tak dobry miał apetyt, i wielkie pragnienie, że zabawa byłaby się nie wiedzieć jak długo przeciągnęła, gdyby Antosia nie była zrobiła uwagi, że czas już wracać, bo słońce zachodzi, i dzieci spać zechcą. Pan Bielski pierwszy się na to zerwał, po nim powstała pani Eleonora, na końcu, choć bardzo niechętnie, podniosła się także hrabina, mówiąc z westchnieniem, że zawsze „ten źle wychodzi, kto niepotrzebnie włóczy się z dzieciskami".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 15. Października 1888 r.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie najpierw we Lwowie, a następnie w całym kraju sprawiła wiadomość, że hr. Agenor Gołuchowski żyć przestał. Nawet we Wiedniu pytano ciekawie: „Co się teraz stanie z Galicją, skoro jej król umarł?" Nie zapomnę również smutnego nastroju, który w mieście naszem panował, gdy ulicą Jagiellońską posuwał się kondukt żałobny, odprowadzający zwłoki człowieka, który mimo wad rozmaitych, boć nie sposób znaleźć takiego, któryby ich nie miał, należał do najwybitniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek nasze społeczeństwo wydało, a prócz tego Galicji tak wielkie oddał usługi, że wtedy nie można się było dziwić, jeżeli ten i ów mówił, iż po śmierci Gołuchowskiego nic dobrego nas nie czeka! I kto wie czy owi pessymiści nie mieli choć w części racji. Wprawdzie prowincja nasza nie zniknęła z powierzchni ziemi, ale za to od śmierci wielkiego namiestnika, taka w niej cisza zapanowała, że teraz nic nas już nie wzrusza, i każdę nową zmianę w pałacu pod „kawką" przyjmujemy obojętnie. Niestety wiemy, że nie czeka nas nic nadzwyczajnego, że rzeczy pójdą dawnem torem, a mybyśmy potrzebowali nadzwyczajności, by poczuć krew w żyłach, bez czego o wielkich czynach nawet myśleć nie można.

Gdym ongi czytał „Nędzę Galicji" p. Szczepanowskiego, uwierzyłem na chwilę, że nareszcie znaleźliśmy człowieka czynu, który wiedząc czego nam potrzeba, pchnie rydwan naszego życia na nowe tory. Do takiego przypuszczenia upoważniała mnie głównie ta okoliczność, iż p. Sz. przy końcu swojej broszury nie sformułował jasno programu na przyszłość, czem dał poniekąd do zrozumienia, że z owym programem wystąpi gdzieindziej. Tymczasem od owej chwili pół roku mija, a o jakiemkolwiek działaniu ani słychu. Teraz wydał p. Sz. drugą broszurę o wódce, rzecz napisaną dobrze i poczciwie, ale mimo wszystkich jej zalet przebrzmi ona bez rozgłosu, ponieważ nam potrzeba nie słów, lecz czynów. Najznakomitsza krytyka naszych stosunków na nic się nie przyda, jeżli równocześnie nie poprze jej stosowne a energiczne działanie. Niech się złączy ludzi dziesięciu dobrej woli, zdolnych i sprawom krajowym szczerze oddanych, a do roku więcej zdziałają, niżby to się dało osiągnąć przy pomocy stu broszur choćby niewiedzieć jak świetnie napisanych, kraj bowiem od dawna mówi: „Mnie potrzeba czynów nie słów!"

Literatura śpi nie tylko we Lwowie, ale i w Krakowie, a śpi tak radykalnie, że wątpię, czyby ją mogła zbudzić bodaj trąba jerychońska. Pisarze, nawet literaci doszczętnie wymarli, zostali zaś tylko reporterzy, którzy pozują na wielkich uczonych i twórców dzieł, bo noszą długie włosy i zatłuszczone kołnierze u surdutów. Nie dziw też, że tak wielcy genjusze są w stanie zdobyć się ledwie na jaki kalendarz, który w ich przekonaniu należy także do „wspaniałych owoców" ducha ludzkiego. Jedno z tych dzieł wiekopomnych mam już w ręku. Jestto kalendarz „Ogniska Domowego" wydany przez księgarnię Łukaszewiczowej. Jak na kalendarz lwowski przedstawia on się wcale dobrze, i ma tę wielką przed innemi zaletę, że posiada niezmiernie obszerną część informacyjną. W niej osobny dział kościelny, którego dotąd nie było w żadnym kalendarzu. Powiastki w nim się znajdujące są piękne i czyste; każdy też może je czytać z przyjemnością i pożytkiem. Sądzę że jest to ważna zaleta dla książki, która leżąc przez cały rok w domu, i walając się, że tak powiem, po wszystkich kątach, dostaje się do rąk młodym panienkom, wyrostkom, nawet dzieciom, uczącym się dopiero czytać.

Skoro mowa o kalendarzach więc słuszną jest rzeczą, bym na tym miejscu wspomniał także o wielkim przyjacielu dam „Bławatku", który własnie opuścił prasę nakładem zasłużonej drukarni W. Manieckiego. Za 50 centów, każda z naszych czytelniczek otrzyma kalendarzyk elegancki, w którym prócz bogatego działu literackiego, znajdzie obszerny „Poradnik toaletowy." Słyszycie panie? „Poradnik toaletowy", rzecz niezbędna dla każdej; boć piękną i miłą, powinna być kobieta do końca swego życia!

p.

Z cyklu sonetów: „Na wyżynach"

ARARAT.

Wyżej, gdzie ludzka stopa nie postanie,
I ślady nikną lekkiej antylopy,
Ponad błyskawic promieniste snopy,
Wyżej i wyżej, nad gromów trzaskanie. —

Nad rozszalałych żywiołów wezbranie,
Nad niebotycznych gór śnieżne roztopy,
Ponad olbrzymich wód dzikie potopy,
Wyżej i wyżej! nad straszne otchłanie,

Ratując twory, mknie arka Noego,
Do portu swego w pogodnym błękicie;
Wyżej, ach! wyżej! mknie ducha ludzkiego
Cudowna arka, przez śmierć, wieków wycie,
Przez walkę, ciemność, do celu jasnego,
Unosząc skarb swój — nieśmiertelne, życie!

Szczęsna.

NOWA WIOSNA.

Z HEINEGO.

Twej miłości — o! bądź pewna —
Nigdy światu ja nie zdradzę,
Chociaż ciągle lutnia śpiewna
Nuci twoich wdzięków władzę.

Śpi bezpiecznie pod różami
Nasza słodka tajemnica
I my tylko wiemy sami,
Jaki płomień w niej prześwieca.

Chociaż z róży strzeli promień,
Ach, niewielka to herezja:
Dzisiaj świat nie wierzy w płomień
I pomyśli: — to poezja!

J. Kościelski.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego."

(Ciąg dalszy.)

— Piękny ten wasz bal, nie ma co mówić — rzekł Liczko, wychylajac się z poza klombu kwiatów. — Jesteś więc szalenie bogaty, kiedy cię stać na to?

—· A tak bogaty, dość bogaty — mruknął Henryk.

— Ja bo niewiele uzbierałem — rzekł Liczko — ciężko szło! Z pczątku przybywszy do New Yorku, pracowałem w fabryce machin rolniczych, jak prosty robotnik, a utraciwszy w skutek choroby to pierwsze miejsce, przyjąć musiałem zatrudnienie w warsztatach kolejowych, aż nareszcie dostałem się do przędzalni John'a, któremu odsprzedałem ulepszoną przezemnie maszynę przędzalnianą, zyskując cztery procent na czasie. Ugodziliśmy się w ten sposób, że zostałem jego wspólnikiem. Możesz sobie wyobrazić, jak świetnie szły interesa, jeżeli w przeciągu lat sześciu mój udział wynosił wcale pokaźną cyfrę: pięćdziesiąt tysięcy sześćset cztery dolarów. Jeszcze lat parę, a wobec tego, że spekulowaliśmy z Johnem jeszcze w kilku innych przedsiębiorstwach, suma byłaby się potroiła; ale brakło mi wytrwałości!... tęskniłem za krajem, przytem praca stargała mi siły. Czułem się słabym, patrz posiwiałem, kaszel mnie męczył uporczywy, zdawało mi się, że lat życia pozostaje mi już niewiele; opanowało mnie gorączkowe pragnienie powrotu do kraju, aby co prędzej przyspieszyć moje dzieło! To brak wytrwałości! Co? wszak prawda? Ciężka wina! Grzech! bo tym sposobem wraca się z kapitałem maluczkim, ale ba! czułem, jakby się w machinie mego organizmu coś zerwało, pękło jakie małe kółeczko. Więc trzeba mi się spieszyć! spieszyć! Czas pędzi jak wilk zgłodniały! Ot i dziś dusi mnie tu, w piersiach. tu kłuje, ciśnie, to już tak oddawna! Dziś mi gorzej ale to przejdzie! Spieszyć się jednak potrzeba! Spieszyć!

Uważasz tedy, dziś nie mam już tych wielkich zamiarów jakie żywiłem dawniej! Wówczas kiedy młodość świat mi stroiła w szaty ideału, kiedy wierzyłem, że w tej kilkołokciowej figurze Michała Liczki, Bóg zawarł siły olbrzyma. Wiele wiele moich marzeń i wiar rozprószyło się w świecie, rozwiało! Cóż chcesz? Musiałem kapitulować! Z wielkiej mojej idei pozostała malutka ot taka iskierka... zresztą, jeśli starczy życia, sił, zdrowia, zobaczymy, co się da zrobić, tymczasem postanowiłem założyć szkołę; nic więcej tylko przemysłową szkołę, ale fachową i wyborną, kształcącą robotników zdolnych, doskonałych! Później, gdy się założy fabrykę, będziemy mieli gotowego już robotnika; a to najważniejsza zasada; nie używać robotnika napływowego; co w dzisiejszym stanie rzeczy u nas, byłoby wprost niemożebnem! Kapitał na to, co prawda niewielki... ale temu się poradzi! Na początek będzie się uczyć dwóch albo trzech fachów, ja obejmuję kierownictwo i profesurę zarazem; dalej mam już dwóch zdolnych nauczycieli; jest więc nas trzech... resztę sił poszukamy! Plany gotowe, wszystko obliczone jak najdokładniej: koszta, możliwe straty i zyski. Zyski, bo szkoła musi produkować, aby przyczyniać się do swej egzystenji, wyroby uczniów muszą być doskonałe i opieniężać się będą. Otóż tedy aby kampanją jak najspieszniej rozpocząć przybyłem tutaj; przedewszystkiem musimy uzyskać koncesję na otwarcie szkoły; mając wpływy, ty Henryku popchniesz to jak należy, aby papiery nie butwiały na półkach! Rozumiesz? Trzeba korzystać z czasu! Czas to pieniądz! Zabawię tu dwa dni najwyżej... wracam zaraz do kraju, aby działanie rozpocząć i wszystko przygotować, ty mi te papiery, skoro będą gotowe, wyślesz niezwłocznie. Spieszyć się trzeba! Spieszyć!

Zrobi się to, zrobi, — odrzekł Henryk — można ci jednak powinszować wytrwałości i energji Michale; przyznam się, że nieraz cię posądzałem. że zostaniesz na zawsze marzycielem zjadającym ideały zamiast chleba i mięsa, tymczasem...

— Co? ja marzycielem? — zawołał Michał zrywając się i podnosząc obie ręce z oburzeniem, lecz usiadł znowu i uśmiechnął się smutnie trochę. — Nie, nigdy nie pozwalałem sobie na marzenia — rzekł po chwli — chyba że moje rwanie się do wielkich czynów, przechodzących może miarę i moc pospolitego człowieka, nazwiesz marzycielstwem! Ale był to ferment nagromadzonych sił młodości. Dziś wyszumiało to już, uspokoiło się, ucichło. Jeżeli w tak trudnych i ciężkich zaiste warunkach, potrafiłem przecież dorobić się czegoś i chociaż cząstkę mego planu urzeczywistnić, tn pewnie nie miałem czasu na marzenia! Twarda praca trzymała mnie w żelaznych kleszczach przy ziemi. Ba! nie ma jak praca, ona nie pozwala błąkać się w mgłach i chmurach; uszlachetnia, hartuje. Odkąd zacząłem myśleć samodzielnie i zastanawiać się nad życiem bezustannie jedna, jedyna myśl mnie przenika, nurtuje: dobrobyt mego kraju! Nie odstąpiłem jej ani na chwilę, ani też ona nie opuszczała mnie nigdy; w dzień i w nocy, w złych i dobrych godzinach, zawsze, wszędzie przyświecała memu życiu, wszystkim moim czynom! Muszkuły, krew, nerwy,mózg wszystkie fibry mej egzystencji spojone z nią były i są najściślejszym węzłem miłości, namiętności. Chyba że to marzycielstwo! Czy wierzysz? To zmieniło się w namiętność palącą, tak że zbierając pieniądze stawałem się zapamiętałym skąpcem: żałowałem kupić nowe odzienie, butelkę whiski lub cygaro. Przywiązałem się do tych gromadzonych i rozsądnych pieniędzy nie gorączką lichwiarza, ale czułością matki dla dziecka! Z rozkoszą patrzyłem jak kapitał ten pracując ustawicznie, wzrastał, nabierał sił obiętości, pomnażał się. Drżałem ilekroć groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo i czuwałem nad nim z ostrożnością i przebiegłością zarazem. Ah! ile

to znoju, trudów, niepokoju, ile nocy bezsennych włożyłem w ten zdobyty grosz! Zapytaj o to tych pysznych dorobkiewiczów, którzy zacząwszy od jednego reńskiego, od jednego franka lub dziesiątaka, pod koniec życia jeżdżą w karosie zaprzężonej, pełnej krwi końmi i mieszkają w książęcych pałacach, a będziesz miał o tem pojęcie słabe i niedokładne zaledwie!

I dziś z dumą powtarzam cyfrę tego kapitału: pięćdziesiąt tysięcy sześćset i cztery dolary! Ach! te cztery dolary, to cała historja... to osobna historja. A! to twoja żona — rzekł wychylając się z poza klombu kwiatów — kochacie się bardzo, wszak prawda? Bardzo dobra i miła kobieta, taka serdeczna i piękna!

Ema w istocie stała niedaleko klombu azalii oparta na ramieniu młodego oficera w niebieskim muudurze kawalerji, z ręką na jego ramieniu dotykającą złotych epoletów; był to książę Oskar. Wysoki i kształtny blondyn o rysach twarzy regularnych, z wargami wydatnemi i pełnemi krwi; w ciemnych oczach, w całej twarzy miał wyraz jakiejś niezwykłej szczerości poczciwej i bezmyślności zarazem. Urodzeniu zawdzięczał i majątek olbrzymi, i wysoką rangę wojskową, którą mimo lat młodych piastował.

Ema ubrana była biało z perłami na szyji, które uwydatniały śliczny kontur jej szyi i podwyższały jeszcze ciepły ton ciała blondynki... oboje uśmiechali się nachyleni ku sobie, Oskar opasał prawą ręką jej talję a lewą poruszał wachlarz z białych piór strusich w takt muzyki walca. — Nie gniewasz się? pytał nachylając się do ucha Emy — powiedz, że mi przebaczasz, albo cię nie puszczę i będziem tak walcowali w nieskończoność, aż zemdlejesz w moich ramionach! — Słowa te i uśmiech Emy utonęły w tonach muzyki i wrzawy balowej... puścili się w taniec i znikli w pośród par wirujących.

— Te cztery dolary, to cała historja Henryku — mówił Liczko głośno, nachylając się do przyjaciela ażeby być słyszanym. — Nazywała się Mary! Była robotnicą we fabryce — wełnę już ufarbowaną i gotową, gdy wyjdzie z przędzalni, układa się w duże pakiety kwadratowe, podług wyznaczonej wagi; zanim się ją wyśle do warsztatów tkackich. Czynność tę spełniają zwykle kobiety — robotnice taniej się płacą. Mary była robotnicą fabryki od lat kilku i sprawowała przytem urząd nadzorczyni. Trzeba było widzieć drobną jej postać w pośród puszystej, białej, różowej, czarnej, niebieskiej, szarej wełny i zarumienioną jej przy pracy twarzyczkę! Drobne jej ramiona zaledwie mogły objąć ogromny pakiet wełny a pracowała szybciej od innych! Rzeżka, zwinna, jak wiewiórka, pełno jej było wszędzie; ciemne warkocze upięte dokoła głowy i wielkie oczy zamyślone, głębokie, nadawały jej wyraz nie zwykłej w tym wieku powagi, chociaż śmiała się często a głos jej czystem, głębokiem brzmieniem napełniał salę. Miała zwyczaj mówić wiersze — wiersze starego Longfellowa: serdeczne, zdrowe, mądre a proste. W pośrod wrzawy fabrycznej, świstu i warczenia kół, syku pary i łomotu dolatującego zewsząd, srebrny głosik Mary, wygłaszał z powagą słowa ulubionych wierszy i napełniał ponurą salę robotnic czystym dźwiękiem poezyi, światłem słońca i śpiewem ptaków, wonią róż, aureolą bohaterskich czynów i echem miłości.

Głos ten rozjaśniał blade, znękane twarze kobiet pochylonych nad stosami wełny, wyciskał czasem łzę, częściej uśmiech wywoływał na usta. Nic piękniejszego, jak ten dźwięczny głos dziewczęcia przewyższający huk i łomot fabryczny!

Słuchałem jej nieraz i nauczyłem się bezwiednie tych wierszy na pamięć — pamiętam je wybornie! Czy wierzysz? Oczy dziewczyny, gdy przechodziłem sale robotnic, spoczywały przez chwilę na mojej twarzy, z tą niewzruszoną, właściwą im powagą, usta jej uśmiechały się do mnie życzliwie, gdy byłem smutny i nie wiem, jak się to stało... dość, że zacząłem u nich bywać i odwiedzałem je dość często. Mieszkała z matką; zarobek Mary musiał wystarczać na życie obu kobiet. Matka jej, sparaliżowane miała nogi i od lat wielu, nie ruszała się wcale z krzesła — słodkim, żałośnym głosem opowiadała o krótkich dniach szczęścia, zanim ją przykuła bezwładnością ta straszna słabość, gdy żył jeszcze jej mąż i powodziło im się dobrze. — Ojciec Mary był pastorem i w pierwszych latach życia dziewczynka otrzymała staranne wychowanie; później dopiero w skutek zmiany zaszłej w ich losie, musiała chwycić się pracy w fabryce, jako najłatwiejszej do znalezienia i dość znaczny dającej zarobek. Obdarzona inteligencją, znająca rachunek i ortografją, w krótkim czasie zyskała zaufanie, powierzono jej kontrolę nad salą robotnic a tem samem otrzymała wyższą płacę.

I w tej chwili mam przed oczyma ten pokój duży, prawie pusty, który zamieszkiwały obie kobiety — w oknach kwitły heljotropy i róże, na środku stał ogrągły stół przy którym pijaliśmy herbatę; przy ścianie dwa łóżka i biały krucyfiks kościany, zawieszony u góry. Matka ciągnęła swe opowiadanie jednostajnym głosem... zawsze te same wspomnienia przeszłości i minionego szczęścia, a Mary uwijała się po pokoju z piosnką na ustach, nie spuszczając z nas oczu.

Kiedy się dowiedziała, że odjeżdżam, twarz jej pobladła, zdawało mi się, że dziewczynka posmutniała od tego czasu.

Czyżbym ja był przyczyną? — E stary warjacie! — zawołałem uderzając się w czoło; a jednak na samą tę myśl, że może... mnie kocha, serce zabiło we mnie gwałtownie; krew trysnęła do twarzy — uczułem dziwną rozkosz!... rozkosz jakiej nie doznałem nigdy przedtem! A była to nielada pokusa! Stało się to wszystko tak niespodzianie! nie mogłem nawet uwierzyć ażeby to było prawdą! Czyż podobna, abym ja stary; siwiejący już człowiek mógł wzbudzić uczucie takie? miłość, stworzoną przecież dla młodych i pięknych! Z drugiej strony pojmujesz? całe życie bałem się kobiet unikałem ich — najlepsza z nich mogła mnie pozbawić hartu i dzielności odwrócić od idei której służyłem całe życie! Kto wie, gdzie mnie ta słabość serca zaprowadzić mogła? Nieprawdaż przyjacielu? Z jakimś fatalizmem wierzyłem, że gdybym pozwolił ukołysać się szczęściu na chwilę — cały trud mego życia nie zdałby się na nic, przepadłby bezpowrotnie! Bo każdy dzień szczęścia okupić trzeba abnegacją pewną, oddaniem czegoś innego! Ma i winien — to się zawsze powtarza z surową logiką w całym świecie, w prawach natury i w życiu człowieka, jak w księgach handlowych.

Z zabobonną niemal obawą drżałem, aby nie stracić jednego dnia, nie uronić jednego dolara przeznaczonego na fundusz mojej szkoły! Rozumiesz? pieniądze nie były już moje — to grosz publiczny, własność cudza. W księdze, w której zapisywałem zysk i straty stało wyraźnie, wypisano u wierzchu stronnicy: Księga kapitału przyszłej spółki przemysłowej. Ja sam nie miałem nic, absolutnie

nic! Czyż mogłem myśleć o czemś podobnem... o żonie?! Czyż wolno mi było stracić chociażby dzień jeden, kiedy czas, zarówno jak pieniądze oddałem na cel publiczny?

Ach! któż mi nawet zaręczy, że byłem kochany w istocie? Nieprawdaż przyjacielu? nie podobna nigdy odgadnąć co myśli taka istota, zwana kobietą!... A ja nie pytałem jej o to nigdy, nie zdradziłem się nigdy ani słowem.

Pamiętam... w niedzielę... szarzało. Siedziałem przy oknie, z nią; słońce rzuciło parę smug czerwonych na dachy; z jej okna nie widać było nic więcej oprócz szarej płaszczyzny dachów, nastrzępionej kominami i skrawek nieba. Widok taki miał dla mnie od dzieciństwa coś niezmiernie uroczego; przenoszę go nad ogrody pełne kwiatów, płaszczyzny zasłane najbujniejszą roślinnością, nad widok mieniącego się w świetle słońca, morza.

Trzymałem rączkę Mary w mej ręce — opowiadałem jej o ojczyźnie mojej — o tym kraju szarym, mglistym, w którym niebo ubiera się w kolor szafiru zaledwie na kilka lub kilkanaście dni w roku, w którym mgły wieszają się na krzyżach przy drodze a w miastach wrzawę i gwar życia tłumi, zagłusza odgłos kołyszących się dzwonów -- tak że cała ziemia dokoła zdaje się ustawicznie modlić, płakać śpiewać!

Dziewczynka słuchała z głową wzniesioną do góry i wyprostowana. Opowiadałem jej o przeszłości naszej... o tem, co jest teraz—o ubogim kraju i ubogich ludziach, tem biedniejszych, że częstokroć nie umieją pracować... mówiłem o tęsknocie palącej za tym krajem szarym, chłodnym a tak pięknym — za tymi ludzmi serdecznymi, jakich już nigdzie nie spotkasz choćbyś przeszedł ziemię wzdłuż i wszerz, za wszystkiem co swoje! A potem z kolei zamiary moje i pracę i zabiegi całego życia dzień po dniu i wreszcie postanowienie powrotu do kraju; opowiedziałem jej wszystko co kiedykolwiek myślałem, marzyłem, całe twarde niezbyt zajmujące życie człowieka, zbierającego chciwie pieniądze... wyliczyłem jej niemal w jaki sposób zdobyłem każdą setkę, tysiączkę dollarów, przeznaczone na cel jedyny mego życia.. na polepszenie dobrobytu mego kraju. — I nagle dziewczynka rzuciła mi się na szyję, uczułem łzy gorące na mej twarzy; potem pobiegła do szafki i z błyszczącemi oczyma rzuciła na stół cztery dolary. — „Weź pan to! weź, aby powiększyć kapitał twoich ubogich braci! ja ich kocham!... Mary składała te pieniądze przez cały rok i trzy miesiące — miałam się za nie ustroić na balik do mojej przyjaciółki miss Anny... miała to być sukienka z białego tiulu z różowemi wstążkami i atłasowe trzewiczki; zupełnie tak ubrana była moja lalka, którą przypominam sobie niewyraźnie z dzieciństwa. Ale weź pan te pieniądze! weź, proszę! niechże i ja przyczynię się trochę do szczęścia twego... do twego dzieła! To nic nie znaczy, że tak mało... weź je, proszę, przyniosą szczęście — prosiła ze złożonemi rękami — weź je, bo inaczej, gdy odjedziesz zapomnę o panu! nie pomyślę o tobie nigdy! nigdy!

Wtedy widziałem ją po raz ostatni — nazajutrz parowiec unosił mnie na falach Atlantyku...

Oto jest historja czterech dolarów! nieprawdaż że to dziwna historja? Ach! biedna Mary!... Kaszel gwałtowny przerwał ostatnie słowa Michała a oczy zwilżyły się łzą — wycisnął ją kaszel, czy też wspomnienie?

Rozkoszne tony straussowskiego walca napełniały salę... a złączone pary w niemym uścisku wirowały dokoła, jedna za drugą; głowy kobiet pochylały się na ramię tancerzy, suknie ich przytrzymane na ramionach zaledwie wąskim rąbkiem a przystające tak ściśle do talii, że zdawały się być jej częścią, zabarwioną tylko na kolor róży, lilii czy fjołka, iskrzące na szyi połyski drogich kamieni krzyżowały w powietrzu błyskawice świateł... złączone pary wirowały coraz szybciej, figura męczczyzny i kobiety w promieniach światła i szybkim wirze zlewała się w jeden promienny barwny obłok: ten różowy, za nim pędzi drugi, biały, liljowy, żółty, niebieski... czasem tylko migną matowe twarze, oświecone blaskiem oczu — i znowu pędzą dalej jak szalone, zwijają się w kręgi, w drobne kółka, to znowu suną rozciągniętym wężem, połyskującym, stubarwnym.. aż nagle przerwał się... suknia czerwona ma jasność i kolor lecącego płomienia, włosy kobiety rozwiązały się w tańcu i rozwiane płyną z prądem powietrza jak — kometa... zda się krzesła i kanapki wirują i złociste festony, okalające galerją i cała sala kręci się w szalonym wirze walca.

Atmosfera sali przepełniona zapachem piżma i kwiatów, gorącem oddechów, staje się odurzającą — urwane frazesy i słowa dają się słyszeć, gdy orkiestra z hucznego tempa i brawury przejdzie w pianissimo — muzykę wtedy zda się dopełniać szmer poruszanych wachlarzy, szelest atłasów i szept stłumiony.

— Masz nieprzyjaciół Henryku? — mówi Liczko — raczej przeciwników — masz słuszność, pomawiają cię o złe dążności; rozumiem jak to boli Co do mnie, nie brałem nigdy udziału w namiętnych sporach i walkach stronnictw a dziś po tyloletniej niebytności w kraju mniej niż kiedykolwiek znam się na tem.. To rzecz pewna, że nie będzie dobrze, dopóki się wszyscy nie zgodzą na jedno! Z drugiej strony, do któregokolwiek należysz, obozu, jeżeli tylko pracujesz nie dla osobistej korzyści ani służysz prywatnym interesom partji, lecz tylko sprawie publicznej z czystem sercem i zaparciem się siebie, czynisz dobrze... Jeżeliby tak wszyscy robili — to w gruncie rzeczy, zgadzaliby się na jedno i ostatecznie sprawa dobra odniosłaby zwycięstwo! Niestety! prywata rozwielmożniła się do takiej potencyi, że... Reszta słów ginie w skocznych dźwiękach muzyki i zlewa się z kilku frazesami, nadniesionymi przez prąd powietrza wraz z nadbiegającą parą tańczącą walca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowy Burgteater w Wiedniu.

Wiedeń dnia 14. październiernika.

Jutro odbędzie się w Wiedniu oddawna już z niecierpliwością przez wiedeńczyków oczekiwane otwarcie nowego teatru nadwornego, który należy do najwspanialszych gmachów stolicy naddunajskiej. Nowy teatr, postawiony naprzeciwko wspaniałego ratusza gotyckiego, w pobliżu parlamentu, zbudowanego w stylu gotyckim i uniwersytetu w stylu renaisans, jest istotną ozdobą naddunajskiey stolicy. Na stworzenie dzieła tego składali się najzdolniejsi architekci austrjaccy, którym przychodzili z pomocą pierwsi rzeźbiarze i malarze.

Nowy gmach zbudowany został w stylu nowszego renaisansu; z zewnątrz można odróżnić trzy jego części składowe, foyer i westybul, wznoszący się po za niemi amfiteatr, a w końcu scenę, której można domyśleć się z daleka po dachu, wystającym ponad dachem, kryjącym amfiteatr.

Front gmachu zwrócony na Francensring, tylna strona na Löwengasse, oba boki zaś wychodzą na obszerny plac publiczny. Okna wszystkie od strony Ringstrasse przyozdo-

bione są popiersiami poetów wszystkich narodów, wykonanemi z prawdziwym artyzmem przez profesora Tilgnera.

Widzimy tu popiersia: Szekspira, Goethego, Moliera, Calderona de la Barca, Lessinga, Schillera, Grillparzera, Hebbla i Halma, a dalej cały szereg grup, wyjętych z dzieł tych autorów, dłuta Weyra, Tilgnera i innych znakomitych rzeźbiarzy.

Na frontowej stronie gmachu znajduje się dziewięć wejść dla publiczności; po bokach osobny wjazd dla cesarza i cesarzowej, z drugiej strony dla arcyksiążąt, dalej odrębne wejście dla artystek z jednej i dla artystów z drugiej strony a nareszcie jeszcze jedno wejście do lóż. Dziewięciu frontowym wejściom dla pubiczności odpowiada także liczba schodów wewnątrz gmachu. Sień schodowa z tej strony nie przedstawia szczególnego widoku, ale za to wchodząć od strony Volksgarten, przez przepysznie wykonaną bramę z pozłacanego żelaza,doznaje się ogromnego wrażenia. Ściany są tu wyłożone marmurem jasnym i są przeważnie białe, złocone. Cztery rzędy słupów zdobią tyleż okien; we framugach widnieją tu wykonane w marmurze postacie aktorów Keana, Talmy, Ristori i Racheli. Wszedłszy na stopnie, widzimy cały szereg arcydzieł rzeźby w ogólności, płaskorzeźby w szczególności i malarstwa.

Przez westybul wchodzi się do foyer, ciągnącego się w półkole, wzdłuż całego frontu gmachu. Ściany foyer są marmurowe, u dołu szare, u góry różowe, ozdobione olbrzymiemi zwierciadłami, które i tak już olbrzymią salę jeszcze bardziej w oczach widza powiększają. Na ścianach wiszą tu wybornie wykonane portrety sławnych artystów dramatycznych, a kosztowne gobeliny otaczają boki artystycznie wykonanych otoman i fotelów, wybitych ponsowym aksamitem.

W foyer oczy widza uderza przedewszystkiem sufit, ozdobiony trzema wspaniałemi malowidłami pędzla Charlemonta: „Sen nocy letniej“ z prawej strony, „Apollo i muzy“ pośrodku, a „Ifigenia w Taurydzie“ po lewej.

Z foyer przechodzi się do bufetów, znajdujących się po obu jego stronach, a zdobionych malowidłami Charlemonta i Runa.

Wspaniałym jest widok wnętrza teatru, którego urok podnosi światło elektryczne. Oko widza nie natrafia tu na słupy; loże i galerye ustawione są bowiem bez połączenia z sufitem, co całemu amfiteatrowi dodaje dużo uroku, przypomina bowiem zupełnie dawne rzymskie amfiteatra. Wnętrze teatru jest koloru śmietankowego, draperye lóż zaś i obicia krzeseł parkietowych purpurowe; wszędzie zaś widnieją przepyszne złocone płaskorzeźby.

Ze szczególnym artyzmem wykonano tu sufit. Od środka, zkąd zwiesza się olbrzymi świecznik, rozchodzą się cztery przez rzeźbiarza Weyra wykonane grupy allegoryczne, przedstawiające „Bohaterstwo walczące z życiem“, „Komiczną niemoc“ i „Zaślepienie tragiczne“. Nad każdą z tych grup, Hynais wymalował medalion, uosabiający treść ich; tak więc komiczną niemoc widzimy w Harpagonie, bohaterstwo w Dziewicy orleańskiej, humor w Falstaffie, zaś tragiczne zaślepienie w Edypie. Najlepszą z figur tych jest Harpagon, najsłabszą Falstaff.

Urok tych grup i medalionów podnoszą jeszcze umieszczone pomiędzy niemi portrety najwybitniejszych poetów starożytnych, a następnie z XVI, XVII, XVIII, i XIX wieku.

Jak portrety autorów dramatycznych, umieszczonych na suficie, przypominają historyczny rozwój teatru w ogóle, tak biusty wybitniejszych artystów, którzy grywali niegdyś w „burgu“ stawiają przed oczy widzów historję rozwoju tego teatru.

Scena nareszcie urządzona odpowiednio do wszelkich wymagań, ma dawać świetne świadectwo najnowszej technice. Uczyniono tu wszystko, na co tylko technicy i mechanicy zdobyć się mogli. Scena ma 31 metrów szerokości, 22 metr. głębokości i jest istną mozaiką, złożoną z całego szeregu klap i wstawek, które mają umożliwić szybkie dokonywanie zmian dekoracyj. Całe podjum jest ruchome; za pomocą szyn podziemnych można je dowolnie przesuwać, spuszczać i podnosić. Jako motor służy tu woda, umieszczona w licznych rurach pod sceną.

Ale rozejrzyjmy się po lożach i parkiecie. Amfiteatr, na którym jak powiedzieliśmy, sufit wcale się nie opiera — składa się z czterech pięter i lóż parterowych.

Nowy „burg“ pomieścić może około 2.000 osób; loże są trochę za ciasne, za to krzesła parkietowe są bardzo wygodne, a odstępy pomiędzy jednym rzędem a drugim, znaczne. Krzeseł parkietowych jest nawet nieco mniej, niż w starym teatrze, parter jest również niewielki.

Loże dworskie, jak zwykle, znajdują się przy proscenium, z obu stron teatru, na parterze, na pierwszem i drugiem piętrze; prócz tego jest jeszcze jedna wielka loża dla dworu wprost sceny. Po nad mniejszemi lożami dworskiemi znajdują się na trzeciem piętrze z jednej strony: loża dla artystek, z drugiej dla artystów. Z obu lóż mniejszych prowadzą nader wygodne i pięknie przyozdobione korytarze do loży dworskiej wielkiej pod parkietem, tak, że dwór, przechodząc z jednej loży do drugiej, nie potrzebuje spotykać się ze zwykłymi śmiertelnikami. Po za lożami dworskiemi znajdują się wspaniałe salony.

Zbytecznem byłoby chyba dodawać, iż pod względem bezpieczeństwa uczyniono tu wszystko, na co tylko technika zdobyć się mogła; unikano wszędzie uciekania się do pomocy motorów parowych, narażających każdej chwili na niebezpieczeństwo ognia.

Jednem słowem, nowy „burg“, jak to powiedział w czasie oglądania go cesarz Wilhelm, jest nietylko wspaniałą budowlą, ale także i „teatrem wzorowym“.

Zet.

ZE ŚWIATA MODY.

Już jesień wróciła.
Z nią zwiędłych liści szmer...

Czy lubisz piękna czytelniczko, jesień?

Co do mnie...

Dawno już, bardzo dawno temu, gdy byłam młodą, kochałam się, *honny soit qui mal y pense*, w Lamartinie (drukowanym) i uwielbiam jesień.

Pamiętam, całemi dniami z książką w ręku siadywałam w parku, słuchając szmeru liści, spadających na obumierającą ziemię; przypatrywałam się srebrnym nitkom pajęczyny, ulatującej w powietrzu, i myślałam...

— O modnych kostjumach?

— Ah! prawda, masz rację, piękna czytelniczko, miałam ci mówić o strojach, a spadłam na zwiędłe liście!

Lecz, przebacz, w tej chwili się poprawię. Oto zaczynam...

Zapewne ciekawą jesteś, co będzie najwięcej noszone w tym sezonie? Chociaż to jeszcze jest t. zw, „*demie saison*“. jednakże nasze magazyny zaopatrzone już zostały w „nowości“. Jeden z nich, który śmiało nazwać można lwowskim

Worthem, pokazywał mi masę świeżych, ładnych materjałów. Prawdziwie, wzrok się gubi w rozmaitości barw, odmian i gatunków.

Na kostjumy jesienne najwięcej używane będą szewioty w duże kraty, niektóre z nich odpasowane z frendzlą, służącą do przybrania kostjumu; wigonie po największej części w pasy.

Już to pasy i desenie t. zw. *a la marguerite* przeważają.

Co do kolorów: zielone, *vert bouteille*, *chiffre;* w materjach zaś: *bleu gobelin*, *bois de rose i terracota* są najmodniejsze.

Suknie wizytowe strojniejsze ubierają pluszem fantazyjnym. Bywa on w różnych kolorach i deseniach; prześliczny jest t. zw *a la marguerite* na tle jedwabnem koloru *mousse*, *bleu gobelin* girlandy lub rzut z białym pluszowym margerytek.

Plusze te są w cenie 7—13 zł. za łokieć i ubiera się niemi przód lub bok sukni i staniczek.

Ponieważ to już i o zimie pomyśleć należy, magazyny więc zaopatrzyły się w wielki wybór materjałów na pokrycie futer. Pokazywano nam też prześliczny plusz na dołmany koloru *loutre* w pasy. Okrycia także ubierają pasmanterją.

Z materyj jasnych, jako nowość, wymienić możemy *bricotine'* chociaż noszone są bardzo *faille epingle* koloru *bleu gobelin* i *bois de rose*. Z czarnych mora gładka i w pasy *moire pekins*, do których przybrania używa się adamaszku i haftów dżetowych.

Z kapeluszy bardzo oryginalne fasonu *Directoire*. Czarny tiulowy, z przodu przybrany girlandą blado różowych *la France*, brydy i wstążki koloru *mousse* i także fantazja na kapeluszu dopełniały tej oryginalnej całości. Drugi taki sam, z materji koloru *bois de rose*, z blado różowemi strusiemi piórami, wyglądał prześlicznie.

Oryginalne też fasony *bébé* z sukna w różnych kolorach ładnie mogą ubierać młode główki.

Co do okryć, dołmany *matlasse* z rękawami pluszowemi należą do najpierwszych nowości.

Dla wysokich osób ładne są bardzo rotundy z rękawami, bez rękawów, ubierane pluszem, wyszyte sutaszem, z kołnierzami szalowemi lub boa z plumagem.

Boa wracają do mody i są bardzo ładną ozdobą. Okręcone parę razy naokoło szyi, jeden koniec zarzucony niedbale na ramię.

Bardzo ładnie wygląda kostjum kortowy, którego bok spódniczki jest obszyty szlakiem z piór lub futerkiem; także mufeczka, toczek i boa na szyi tworzą harmonijną całość.

Nie wiem, piękna czytelniczko, czy cię to sprawozdanie zadowolni?... Starałam się być jak można najwięcej wyczerpującą, jeżeli jednak pragniesz jeszcze dokładniejszej wiadomości, to z całą przyjemnością w przyszłości służyć ci nią będę.

A—a.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

Nowe książki. Jako dziewiąty tom ogólnego zbioru pism Michała Bałuckiego, wydawanych nakładem S. Lewentala, ukazał się tom „Komedyj" tego autora, zawierający następujące prace dramatyczne: „Dom otwarty" — „Na łonie natury" i „Komedje z oświatą". (Warszawa, 1888. Stron 295).

Dzieje teatru. Grono artystów i literatów warszawskich zabrało się do opracowania wyczerpujących i obszernych dziejów teatru polskiego. Materjały do dziejów stanowi cenna spuścizna po Michale Chomińskim, który, jak wiadomo, pozostawił znaczną kollekcję portretów, rękopisów, afiszów, notat i t. p.

Czterdzieści i cztery. Pod tym tytułem wyszło nakładem czerniowieckiej „Gazety polskiej" dziełko pióra dra Erazma Krzyszkowskiego a będące cennym przyczynkiem do studjów nad „Dziadami" Mickiewicza. Autor rozebrał skrupulatnie wszystko co do wyjaśnienia tej zagadkowej cyfry tak przez Adama chętnie przytaczanej, odnosić się może i powysnuwał z tego trafne częstokroć wnioski. Rzecz czyta się z wielkiem zajęciem.

Maurycy Gottlieb (1856—1879.) Pod tym napisem wydał p. J. Wiesenberg w Złoczowie broszurę o życiu i obrazach zmarłego, wielce uzdolnionego tego malarza, przeznaczając czysty dochód z niej, na korzyść mającego się postawić dla b. p. Gottlieba, pomnika.

Zapiski archeologiczne poznańskie. Pod takim tytułem wydaje Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu, rezultaty poszukiwań archeologicznych w zeszytach oddzielnych. z których każdy omawia jedno wykopalisko. Zeszyt czwarty z r. b. zawiera rzecz pt. „Kurhan w Grunówku pod Lesznem" przez Romualda Erzepkiego rozkopany, w którym znalazło się wiele rzeczy, niepośledniej archeologicznej wartości. np. groty ze znakami, jakie znano dotychczas tylko z wykopalisk w Müncbebergu i Kowlu. Należą one do epoki wędrówek ludów mniej więcej do 4 stulecia po Chrystusie i są pochodzenia germańskiego, jak to w listach do autora, stwierdzają największe dziś powagi na tem polu pp. Virchow, Undset i Olshausen, którym udzielił p. Erzepki przedmioty przez się odszukane, za co odwdzięczyli się szczegółowemi odpowiedziami zamieszczonemi w rozprawce, dodanej do rysunków, które stanowią główną wartość wydawnictwa.

W dalszym ciągu wydawnictwa warszawskiego imienia T. T. Jeża wyszedł świeżo tom piąty, obejmujący rozgłośne dzieło Wundta p. t. „Teorja poznania". Przekładu dopełnił p. Z Heryng. Wyszłe dotąd tomy wspomnianego wydawnictwa wzbogaciły już nasze piśmiennictwo „Szkicami" Spencera, „Dziedzicznością psychologiczną" Ribota, „Genjuszem" Lombroso i „Wspomnieniami o Kraszewskim" Jeża.

Teatr i muzyka.

W teatrze lwowskim wystąpiła kilkakrotnie jako debiutantka panna Charlemont (pseudonym). Debiutantka, podobno uczennica Rapackiego posiada znaczny zasób warunków, kwalifikujących ją do ról dramatycznych, powinna jednak wiele pracować nad sobą, jeżeli zamyśla zawodowi scenicznemu oddać się na serjo.

Pani Aleksandra Rakiewiczowa, jedna z najznakomitszych polskich artystek dramatycznych, obchodziła w zeszłym tygodniu 30 letni jubileusz wstąpienia na deski teatru wielkiego w Warszawie. Znakomita artystka, znana zarówno lwowskiej publiczności, jak i krakowskiej z występów na tych scenach przed laty, należy do szkoły klasycznej i reprezentuje w sztuce dramatycznej kierunek idealistyczny. Wspaniałość postawy głos o silnem brzmieniu i wyborna dykcja wsparły jej znakomity talent aktorski i zrobiły ją artystką pierwszorzędną. Pani R. odebrała od publiczności warszawskiej, jakoteż zawodowych kolegów w dniu jubileuszowym dowody prawdziwej sympatji i pamięci.

W operze lwowskiej w grudniu a najdalej w styczniu wystawioną będzie po raz pierwszy opera Thomasa „Mignon" z panną Mirą Heller, która została do lwowskiej opery zaangażowaną.

Pani Zimajer występuje obecnie w Berlinie w teatrze „Viktoria". Od listopada podobno, została p. Z. zaangażowaną do Lwowa.

Teatr ruski wystawił w dalszym ciągu tragedję Osipa Fedkowicza „Dowbusz" i komedję Cеglińskiego „Szlachta chodaczkowa". Oba utwory nie są nowościami. O ile pierwsza z nich jest sztuką bardzo słabą, o tyle druga wybornie charakteryzuje ginące już u nas typy i stosunki zaściankowe.

„Lutnia" warszawska. Do zarządu „Lutni" zostali wybrani: Piotr Maszyński, Adolf Pepłowski, Filip Wołowski, Władysław Przybylski, Adam Zakrzewski, Jan Karłowicz.

Koncert nadwornej śpiewaczki Minie Hauk, odbędzie się we Lwowie dnia 24. bm.

Towarzystwo artystów Meiningeńskich wybiera się w nową podróż artystyczną po Rosyi, przyczem odwiedzi Warszawę w kwietniu roku przyszego.

W paryskim teatrze Ambigu przedstawiono w zeszły piątek dramat w trzech aktach, przerobiony z powieści Juliusza Mary p. t. „Roger la Honte (Krwawe ślady). Sztuka przerobiona na scenę przez autora i Jerzego Grissier, wielkie zyskała powodzenie.

Nikita nie przybędzie w tym roku do Lwowa. Natomiast Minne Hauk i Saint Saense przyjadą w tym miesiącu nieodwołalnie.

Sympatyczna wiolinistka, Teresina Tua, zapowiada swój przyjazd do Warszawy w przyszłym miesiącu. Artystka podróżuje obecnie wraz ze znanym skrzypkiem, p. Gustawem Friemannem i śpiewaczką, panną Angeloni.

— **W londyńskim teatrze Drury Lane** przedstawiono w zeszłym tygodniu dramat w pięciu aktach Augusta Harris, p. t. „Armada." W sztuce tej jest wszystko: żywe obrazy, egzekucye, izba tortur, walki na siekiery i wreszcie bitwa morska, będąca t. zw. clou tego przedstawienia, które autor zamiast panoramą w kilku obrazach, nazwał bardzo niewłaściwie dramatem.

Sztuki plastyczne.

Jan Woydyga, artysta rzeźbiarz, pracuje nad „Projektem pomnika, " który przedstawi komitetowi Towarzystwa sztuk pięknych przed wyjazdem na studja do Florencji.

Na cele sztuki polskiej. Wydział kasyna narodowego we Lwowie uchwalił na jednem z ostatnich posiedzeń, aby z funduszów kasynowych corocznie przeznaczyć odpowiednią kwotę na zakupno dzieł sztuki artystów polskich.

Kronika powszechna.

W zakładzie im. Ossolińskich odbyło się 12 b. m doroczne posiedzenie. Biblioteka liczy obecnie tomów przeszło 84.000 Publiczność wspiera instytucię tę ciągle darami w rękopisach, dziełach drukowanych, dziełach sztuki i przedmiotami zabytkowymi. Na posiedzeniu tem obczytano też źródłową pracę kustosza zakładu dr. Alexandra Hirschberga pt. „Z dziejów upadku i niedoli ustęp z przeszłości m. Lwowa."

P. Franciszce Smolce w dniu jego 40-letniego jubileuszu prezydowania w parlamencie, złożono ogromną liczbę powinszowań i gratulacji. Wiele miast galicyjskich mianowała go członkiem honorowym.

Wystawę archeologiczną otwarto d. 10 bm. w instytucie Stauropigii we Lwowie. Wystawa jest obfitą i zgromadzono na niej cenne zabytki, do przeszłości Rusi zwłaszcza, się odnoszące.

Pani Gabrjela Zapolska znana z ekscentryczności artystka dramatyczna i nowelistka próbowała skrócić sobie życie trucizną. Na szczęście próba się nie udała i pani Zapolska ma się już lepiej.

Obrona Mackenziego wyszła 15. października równocześnie w Londynie, Paryżu i Berlinie, a 14. października zamieścił całe dzieło nowojorski *Sun*. W Niemczech uległo dzieło dr. M. konfiskacie.

W Czytelni dla kobiet rozpoczął się ruch ożywiony na nowo. Sześć odczytów w tym sezonie zainaugurowała p. Wiktorja Niedziałkowska odczytem „O Unji" w rocznicę przyjęcia chrztu przez Ruś. W najbliższym czasie wypowie dwa odczyty z psychologji pt: „O kształceniu charakteru" p. W. Kozłowski.

Zmarli.

† **Twórca Volapüku**, dr. M. Schleier zmarł w Moguncji zeszłego tygodnia.

† **Włodzimierz Łoś** utalentowany młody malarz zmarł w Monachium. Ś. p. Włodzimierz urodził się w gubernji Wołyńskiej w 1849 r., w dobrach ks. Sanguszków. W sztuce kształcił się najpierw w Warszawie, następnie w Krakowie, a wreszcie w Monachium. Artysta zmarł w kwiecie wieku na chorobę piersiową.

† **Cezar Correnti** jeden z największych patrjotów włoskich, mąż stanu, który w historji zjednoczenia Włoch wybitną odegrał rolę, zmarł w Rzymie w 69 roku życia. Correnti znakomitym był zarówno rycerzem pióra jak i miecza i krew swoją przelewał w rewolucji lombardzkiej. W Correntim traci Polska jednego z najlepszych przyjaciół. Cześć jego pamięci!

Zadanie konikowe.

(ułożył Boruta z pod Babiej góry)

y k r w t
s ż l i a y y
e w ć a o u o e ł
t w e ż t ć n z k r i
d e a ł m p t e e s a
p ę r i ł r a w b
g d u o i ż i
g o ą z y

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść J. Kiellanda „Jad"**.

Rozwiązanie łamigłówki.

Hyeno — **E**peries — **N**abukadnezar — **R**igolleto — **M**arjanny—**K**ałmukowie — **S**zymowicz — **C**iucinati — **E**legie — **M**oskowski — **M**eksyk—**I**liumu — **E**gejskie—**W**ioniki — **J**udyanin—**C**iąg — **Z**łoto.

Henryk Sienkiewicz—Ogniem i mieczem—Orso.

Rozwiązanie zadania djamentowego.

A
a K t
p i O t r
c h a R k ó w
A K O R D E C K I
m e n E l a s
o l C h a
o K o
I

Rozwiązanie łamigłówki.

Sienkiewicz — **M**indowe — **O**kno — **L**ufa — **K**onewka — **A**utonomia — **F**ranciszkanin — **R**eduta — **A**leksander — **N**iagara — **C**ele **I**gnatiew — **S**okół — **Z**arękawek — **E**liza — **K**orona.

Smołka Franciszek.

Rozwiązanie wszystkich zadań nadesłali: Pp. Marja Bernacka z Krakowa, Wanda Kopacz ze Stanisławowa, Stefanja Eisenberg z Żurowa, Jan Olszewski z Sambora.

Częściowe rozwiązania: Dora Lehmann z Wyżnicy, St. Plank z Kołomyi, Stan. Faliszewski z Niżankowic, Kazimiera Ośmiecimska z Jauer (Szlązk austr.) Stefanja Grabowska z Wadowic, Emilia Niemczewska z Kozaczówski, K. Sozańska z Lubieniec, Marja Wurst z Kosowa.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymała **Stefanja Eisenberg** z Żurowa.

Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU i WIECZORACH ZIMOWYCH" upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki.

Z drukarni nar. W. Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.